

Słońca zachodziło powoli nad pobojowiskiem. Zalane krwią trupy Qa i ludzi północy były niemal nie do odróżnienia w całym tym cholernym burdelu. Ditr uśmiechnął się, wycierając ostrze z krwi. To była dobra walka. Fakt, kilku jego towarzyszy padło, ale jego kompania dawno nie miała okazji, by tak skutecznie wykorzystać swój pełny potencjał. Dak wyszczerzył zęby na wspomnienie zaskoczonych Qa, którym miast walczyć z lekko zbrojnymi Tryntyjczykami przyszło dostać w ryj ciężko opancerzoną pięścią Ormurinu.

- Sierżancie, co dalej? – zapytał Olaf, weteran, z którym walczył już dobre pięć lat.

- Teraz robimy to, na co nam pan magnifer zezwolił – powiedział powoli idąc w stronę wioski.

Po drodze mijał krwawe pomniki skuteczności jego kompanii. Ich początkowa szarża załamała szyk Qa i zmusiła ich do wejścia głębiej do wioski. Wtedy zgodnie z planem oddziały magów bojowych Tymenu wzniosły ogniste ściany, by zapobiec ucieczce wroga. Kiedy mieli ich dokładnie tam, gdzie chcieli, najemnicy utworzyli dwa rzędy po dziesięciu kuszników, chronionych migdałami. Zdyscyplinowane salwy ciężkich bełtów przekonały Qa, że są rzeczy gorsze niż ogień.

Ditr zatrzymał się w pół kroku, zajrzał za róg jednej z chat. Dwóch wojowników Zapołudnia i jedna kapłanka starali się przekraść między zabudowaniami. Kierowali się w stronę drewnianego dworku, który kiedyś pewnie należał do pomniejszego szlachciury z Tryntu, ostatnio zaś stanowił jedną z kwater dygnitarza Zapołudnia. Ditr uśmiechnął się, patrząc na złotą kolię na szyi kapłanki. Tak cicho jak potrafił naciągnął pistoletową kuszę i dobył miecza. Przeszedł przez szeroki pas spalonej ziemi, która chrzęściła pod jego pancernymi butami, a następnie wszedł na mokrą, lekko mlaskającą trawę.

Kiedy wojownicy Qa zrozumieli, że kusze Ormurinu oznaczają dla nich śmierć, wybrali jedyną dostępną drogę rzucając się przez płomienie. Jednak zanim podjęli tę decyzję Tymen i Ormurin zdążyli się już przygotować. Poparzonych i spanikowanych Qa przywitały rzędy wergundzkich tarcz oraz dwuręczne miecze ciężkiej piechoty najemników. Wojownicy Zapołudnia uciekli z jednej rzeźni tylko po to, by wpaść w nową. Wojska północy odniosły druzgocące zwycięstwo przy minimalnych stratach własnych. Uznano, że garnizon Qa został wycięty w pień. Aż do teraz.

Ditr pozwolił kapłance z obstawą wejść do dworku, dzięki temu miał ich w potrzasku. Nie czekając na towarzyszy, by ci nie odebrali mu chwały i łupów, wszedł do drewnianej budowli. Qa znalazł w piwnicy, z której wychodził tunel prowadzący zapewne za wioskę. Ditr schował się za jednym ze stempli. Planował. Kapłanka stała przy jednym z wojowników, rozmawiała, była tyłem do niego, on przodem, zobaczy go pierwszy. Drugi wojownik stał dalej, bokiem, słuchał, zareguje drugi. Ditr miał gotową kuszę, miecz, tarczę na plecach, alchemiczny granat gazowy, fiolkę płynnego ognia. Zapamiętał dokładnie rozstawienie ludzi w pomieszczeniu, wbił miecz w klepisko.

Wyszedł zza stempli celując w kapłankę. Tak jak się spodziewał, wojownik przepchnął ją na bok i wyszedł przed nią. Drugi zaczął się obracać, dobywając obsydianowej maczugi, dobiegnie pierwszy, gdyż drugi musi wyminąć kapłankę. Ditr rzucił granat dymny, jednocześnie przenosząc cel na wojownika z maczugą. Trzask cięciwy. Bełt wpadł w rosnącą chmurę dymu, rozległo się zaskoczone stęknienie bólu, następnie spory ciężar upadł głucho na ziemię. Ditr zrobił dwa kroki w bok by zejść z linii ataku drugiego wojownika, odrzucił kuszę, wyrwał miecz z ziemi. Wolną ręką odkorkował alchemiczny ogień i chlusnął nim na słuch w biegnącego Qa. Wrzask bólu wypełnił pomieszczenie. Ditr uciął go jednym szybkim cięciem.

Kiedy dym się rozwiął, a kapłanka zaczęła podnosić z ziemi, pierwszą rzeczą jaką zobaczyła była płynąca po klepisku krew. Drugą było ostrze dakońskiego miecza. Sierżant Ormurinu zerwał kolię z szyi kobiety, a kiedy wziął już wszystko, co chciał, zakończył jej życie szybkim ciosem sztyletu w serce. Wszedł na górę i zaczął się rozglądać po kufrach w domu. Rezydujący tu gubernator

czy inny zapołudniowy można zgromadził niezłą kolekcję kradzionych, wydartych Tryntyjczykom zapewne, dóbr.

- Co ty wyrabiasz, żołnierzu!? – usłyszał za sobą syk jednego z dekurionów, obrócił się powoli. – To są dobra Tryntyjczyków, naszych braci w boju.

- To są łupy wojenne, przyjacielu – uśmiechnął się Ditr, ważąc w ręce wielką, złotą fibułę.

- Ach tak? Łupy stanowią własność skarbu Wergundii i to sztab decyduje o ich podziale. To grozi areszcie... - przerwał kiedy opancerzona ręka Ditra wylądowała mu na ramieniu.

- Mój drogi, widzisz, ja ci nie podlegam – powiedział spokojnie najemnik. – Zgodnie z umową podpisaną przez wasze dowództwo ja i cała reszta kompanii Ormurinu podlegamy bezpośrednio pod magnifer Sirillę dar Ittigen.

- Ale decydowanie o łupach... – zaczął dekurion zrzucając rękę najemnika.

- Też należy do nas zgodnie z umową zawartą z księciem Severo. Mamy zapewnione pierwszeństwo w łupach i amnestię do trzydziestu lat wstecz – dekurion zamilkł zaciskając tylko gniewnie pięść. Dobrze wiedział, że po pierwsze najemnik ma rację, po drugie kilka błyskotek nie jest wartych awantury, która mogła z tego powodu wyniknąć, a po trzecie, wsparcie kilku tysięcy weteranów z Ormurinu warte było na polu walki dziesięć razy tyle co każda jednostka z zaciągu. Szkoleni do najtrudniejszych warunków, niewrażliwi psychicznie, doświadczeni i zażarci szybko stali się postrachem Zapłudniowców i jedną z najskuteczniejszych jednostek tej wojny.

- No. To skoro to sobie wyjaśniliśmy, ja wrócę do korzystania z moich przywilejów na górze, a później ja i moi towarzyszy dołączymy zgodnie z rozkazami magnifer do wojsk formujących się do ofensywy. Do zobaczenia, panie oficerze – powiedział, niedbale salutując i skierował się do głównej sypialni.